

F O Y E R

Przed czternastoma laty artystka teatru znana i poważana, tyleż ze względu na wagę twórczości, co i postawę obywatelską (której konsekwencją było notabene internowanie w stanie wojennym) wypowiedziała te oto słowa: „[...] czuję pewien niepokój. Wydaje mi się, że zastraszająco obniża się poziom intelektualny społeczeństwa. [...] Następuje pauperyzacja społeczeństwa, które na poziomie biologicznego przetrwania [...] zmuszone jest w pierwszej kolejności zabiegać o podstawowe dobra materialne. [...] Tym bardziej naszym obowiązkiem, ludzi myślących perspektywicznie, jest robienie wszystkiego, by homo biologicus nie przestał, mimo wszystko, być człowiekiem czującym i myślącym. Kultura to pamięć narodu. To więzi społeczne, którym szczególnie zagraża sytuacja zwierzęcej walki o byt. A więc jednak powtarzam niezmiennie: brońmy się kulturą” [cyt. za: *Komedianci. Rzecz o bojkocie*, Wydawnictwo Organizacji Solidarność Walcząca, Warszawa 1989].

Minęło czternaście lat. W zimowy wieczór idę na premierę, na którą z trudem uzyskałem zaproszenie. Gdy zadzwoniłem do organizującej to przedsięwzięcie pani o znanym w środowisku teatralnym nazwisku i poprosiłem o miejsce na widowni, usłyszałem wybitnie inteligentne pytanie: „a co ja z tego będę miała?”. Niestety, cierpię na *esprit d'escalier*, więc na takowe *dictum* zamurowało mnie. Dzisiaj odpowiadam: nic Pani, niemiła Pani D., nie będzie z tego miała, ponieważ wyszedłem w przerwie, stoczywszy uprzednio walkę z samym sobą, żeby nie robić skandalu i nie wyjść w trakcie pierwszej części przedstawienia. Zwłaszcza, że miałem miejsce obok redaktora naczelnego pewnego tygodnika, który przez niedobitki przyzwoitych ludzi w naszym kraju uważany jest za trybunę tak zwanego pańszwiniżmu.

Godzina, którą spędziłem w teatrze pozwala mi sądzić, że reżyserka, czternaście lat temu wyrażająca troskę o wyższą kulturę, wyprodukowała oto komercyjne barachło, oparte na tekście najpoczytniejszej dziś i najlepiej się sprzedającej krajowej grafomanki, z użyciem – bo inaczej tego określić nie umiem – dwu znanych, utalentowanych aktorek. Odniosłem przez tę godzinę wrażenie, iż redaktorowi wszechświńskiego tygodnika (gościem reżyserki byłby czy autorki?) przedstawienie podoba się znacznie bardziej niż mnie. No, ale cóż, *de gustibus non disputandum est* – o gustach się nie dyskutuje. (Recenzent dużego dziennika, znany z tego, że zgodnie z dyrektywą Mrożkowego Edka idzie zawsze przodem do przodu, w swojej

recenzji zaaprobował przedstawienie, dostrzegając w nim zdrowy symptom nowych czasów).

Co do mnie: może bym nie czernił papieru w tak miżernej sprawie, przyjąwszy, że za przedsięwzięciem stoi to, co w języku dzisiejszych małolatów określa się słowem „kaska”, a o kasce – jak wiadomo – dżentelmeni nie rozmawiają. Niestety, w okolicach opisywanej premiery, osoby zorientowane w ofercie programowej rozmaitych kanałów telewizyjnych, powiadomiły mnie, że bohaterkę mojego felietonu można oglądać na tak zwanym szklanym ekranie. Fakt sam w sobie nie byłby niczym dziwnym, gdyby nie stacja i rodzaj programu, w których niegdysiejsza bojowniczką o wolność i demokrację zdecydowała się wystąpić (zresztą w tasiecowym serialu). Jeśli chodzi o stację: jest to najgłupsza i najbardziej prymitywna telewizja w kraju. Sam słyszałem, całkiem jeszcze niedawno, jak nasza artystka mówiła o tej stacji jako o symbolu kulturowego znikczemnienia. Pojęcie wartościujące i zarazem określenie degrengolady, zagrażającej polskiemu społeczeństwu, z nazwy stacji ukuł wybitny reżyser i wicemarszałek Senatu (nie chcąc tu wymieniać nazwy telewizji, użyję formuły bliskoźnaczej: idiotyzacja kultury). Inna sprawa, że pod szyldem owej telewizji twarz straciło już tylu aktorów – także tych najbardziej szanowanych – że ich nazwiska wypełniłyby miejsce tego felietonu (a i to przy założeniu, że nie uwzględnimy drugiego planu).

Co w telewizji dla idiotów robi autorka wielu ważnych i poważnych spektakli, niegdysiejszy autorytet zawodowy i moralny? Ano wraz z trojgiem osób o pomniejszych w świecie sztuki nazwiskach, zwanych wykwinnie jurorami, w sposób cyniczny, żenujący i nieetyczny zamienia ludzką głupotę na telewizyjne widowisko, ku uciesze rżącego milionowym rechothem pospólstwa. Rzecz polega na tym, że do programu zgłaszają się ludzie, którzy za wszelką cenę chcieliby zaistnieć przed kamerą. Mają do dyspozycji 30 sekund, żeby zainteresować sobą owych, hm, jurorów. Co tymi ludźmi kieruje, to temat na osobne opowiadanie. Mnie by ciekawiło, co też skłania naszą reżyserkę do udziału w tak haniebnym, medialnym lupanarze? Nikt mnie nie przekona, że i tym razem chodzi o „kaskę”. Musi chodzić o coś w istocie innego, czego za ledwie się domyślą. Tak czy inaczej, jak mawiał Antoni Słonimski, wszystko można, ale nie wszystko wypada.

